Rok 1935. 3 listopada Nr. 45

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
pod redakcją Eli Oleskiej.



Do umierającej matki.

Modlitwa sieroty.

Idą dzieci, niosą kwiatki
W dom rodzinny, w miłe wrota,
Lecz ja nie mam ojca, matki —
Jestem sierota...

Matka gładzi włos u czoła,
Ojciec o chleb się kłopota,
Ale na mnie nikt nie woła —
Bo ja sierota...

Uścisk matki ze snu budzi,
Ojca uśpi je pieszczota,
Ja u obcych żyję ludzi —
Bom jest sierota...

O, mój ojcze, matko miła!
Wieczna do was ma tęsknota.
Cicha kryje was mogiła —
A ja sierota...

Boże, co w błękitnem niebie:
Masz na słońcu dom Swój złoty,
O, przygarnij Ty do siebie
Serce sieroty!

Otrzej łzy, co z oczu płyną,
Utul w smutku, co mną miota.
Wszakże Boga jest dzieciną
Każda sierota!

Marja Konopnicka.

Oto syn, co ukochał matkę.

Wojna w dawnej Polsce nazywała się potrzebą, służba zaś rycerska zakonem. A był to zakon twardy i surowy, z pod którego nie wolno było nikomu pod grozą niesławy wyłamywać się bezkarnie. Na dane hasło, czy to przez listy zapowiednie, czy przez tak zwane uniwersały hetmańskie, szli ci rycerze „w habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy", — jak mówi historyk — tam, gdzie ich wzywała potrzeba kraju i szli nie jako płatne najemne knechty, ale jako ochotnicy, pełniący z obowiązku i z poświęcenia służbę dla droższej nad życie Ojczyzny.

Trwało tak przez wieki całe: szedł mąż za mężem, syn za ojcem, wnuk za dziadem, pokolenie za pokoleniem, znacząc ślad swego pochodu wstęgami własnej krwi, lub kopcami rozsianych na pobojowiskach mogił. Ludzie owych czasów trzymali wciąż nogę w strzemieniu, toteż o młodym szlachcicu nie mówiono wówczas, że wchodzi w ślady ojców, lecz że wstępuje w strzemię przodków. W tem wyrażeniu mieściło się pojęcie cnoty rodzinnej z pojęciem służby publicznej i obowiązkiem rycerskim.

Jednym z takich, co przez całe życie nie wypuszczał nogi ze strzemienia, był w XVII wieku Krzysztof Strzemeski, rotmistrz ziemi halickiej i nieustraszony jej obrońca. Mówi się o nim, że niby archanioł z mieczem płomienistym, stał zawsze na straży ziemi ojczystej. A przecież mimo, że tak serdecznie szafował własną krwią i z taką pokorą prawdziwego rycerza chrześcijańskiego spełniał wobec Matki Ojczyzny swój obowiązek synowski — przecież zszedł ze świata prawie w zupełnem zapomnieniu. Chociaż nikt ze współczesnych, ani potomnych nie zatroszczył się o to, aby pamięć jego przechować dla przyszłości, albo przynajmniej postawić mu skromny pomnik, to przecież zachowało się o nim krótkie wspomnienie, które starczyć może za całe tomy historji, a które czytać się musi z głębokiem wzruszeniem, niby kartę wyjętą z żywotów Świętych, i mimowoli przy tem oko łzą zachodzi, a usta szepczą „wieczny odpoczynek".

Pochodził pan Krzysztof ze znanego i zasłużonego w Polsce rodu, który wydał z pośród siebie nietylko wielu walecznych rycerzy, ale także świątobliwych kapłanów. Ojcem jego był chorąży halicki, mąż dzielny i wielkiego serca. Jak wszyscy ziemianie wschodnich kresów Polski, bił się z Tatarami, na których dochodził krzywd nietylko Ojczyzny, ale i własnej rodziny, gdyż starszy brat jego Mikołaj zginął z ręki pohańców.

Już jako młodzieńczyk, stanął Krzysztof w szeregi hetmana Żółkiewskiego i pod jego buławą walczył wiernie do ostatnich chwil wielkiego wojownika. Bił się u jego boku to z Moskwą, to w Prusiech i na Wołoszczyźnie, aż pod Cecorą (1620), gdzie padł sędziwy hetman, dostał się Krzysztof ledwie żywy z powodu ciężkiej rany, do tureckiej niewoli. Po dwu latach prawie cudem stamtąd wybawiony, wrócił na ojcowiznę i znów po dawnemu uganiał za Tatarami, bronił twierdz granicznych, brał w łyka wodzów tatarskich, a ich chorągwie zielone ze złotym półksiężycem wieszał w kościele jako wota.

W czasie pokoju był jak najlepszym panem i obywatelem. Opustoszałe wioski i miasteczka zaludniał nanowo mieszkańcami, budował zamki obronne, dwory obszerne dla przytulenia swoich ludzi podczas napadów tatarskich, stawiał kościoły i szpitale; w czasie głodu otwierał własne śpichrze dla ludzi, ubogie panny brał na wychowanie, poddanym swym kmieciom nigdy żadnej krzywdy nie pozwalał czynić.

Najpiękniej jednak przedstawia pana Krzysztofa legenda miejscowa, która opisuje jego miłość do matki. Oto pod jego nieobecność w domu, horda tatarska, niszcząc tamtejsze ziemie, spaliła i dwór rodzinny rycerza, a matkę zabrała w jasyr, spodziewając się po niej znacznego okupu. Syn jednak mimo największych wysiłków, dopiero za kilka lat zebrał żądaną ogromną sumę, z którą wybrał się zaraz na Krym. Niestety, zastał matkę już konającą na nędznem posłaniu. Zdążyła mu tylko dać ostatnie błogosławieństwo, kładąc wyschłą rękę na głowie. Syn postanowił sprowadzić ją do Ojczyzny i pochować w ziemi święconej, dał więc chanowi tatarskiemu tyle pieniędzy, ile on chciał za żywą, złożył drogie ciało na wóz przykryty kirem i szedł obok pieszo z odkrytą głową, śpiewając pieśni żałobne wraz z dworskimi sługami, którzy mu towarzyszyli. Tak przeszedł nieprzejrzane stepy od Czarnego morza począwszy, aż stanął u granic Polski. Po drodze Tatarzy wybiegali zdziwieni ze swoich siedzib i pokazując dzieciom ten pochód niezwykły, mówili: Patrzcie, oto syn, co swoją matkę ukochał.

W Polsce, na wieść o jego powrocie, ludność też tłumnie wyległa naprzeciw, witając orszak żałobny płaczem ogromnym. Ozwały się dzwony kościelne, rozległ się śpiew kapłanów, pochyliły się nad trumną chorągwie

brackie; mężczyźni przyklękali na drodze, a matki podnosiły na rękach dzieci, aby im pokazać syna, który tak umiłował i uczcił swoją rodzicielkę. W otoczeniu licznych tłumów dotarł pochód aż do rodzinnej wioski, gdzie po nabożeństwie, pan Krzysztof złożył na cmentarzu obok prochów ojca zwłoki ukochanej matki.

Sam zmarł w roku 1671 i został pochowany w podziemiach kościoła farnego w Brzeżanach.

Dziwne obyczaje.

Ludzie, którzy najlepiej poznają zwyczaje i obyczaje ludów dalekich, zamieszkujących olbrzymie przestrzenie Azji i Afryki — to misjonarze. Nikt tak jak oni, nie wchodzi blisko w życie czarnych i bronzowych mieszkańców tych obcych dla nas krajów. Toteż mają misjonarze wiele do opowiadania rzeczy ciekawych, które dla Europejczyka zawsze są nowością i nadzwyczajnością. Oto co np. opowiada jeden z polskich misjonarzy pracujących między Hindusami w Azji, O. Łaniewski, oblat Marji Niepokalanej.

Miałem maleńki modlitewnik w pięknej oprawie. Przychodzi raz do mnie młody Hindus i spostrzegłszy na stole książeczkę ze złotemi literami na okładce, mówi do mnie z miejsca: Ojciec musi mi to dać. Zdziwiony pytam: dlaczego? Bo to piękne — słyszę w odpowiedzi. Więc dlatego, że piękne, ja nie mam do tego prawa, chociaż to jest moje? — spytałem jeszcze mocniej zdumiony. Spostrzegłszy, że w mojem wyobrażeniu zachował się nieodpowiednio, rzucił bez długiego namysłu zwykłą odpowiedź Hindusów: Tu taki zwyczaj. Europejczyk nigdy chyba nie potrafi zrozumieć takiego zwyczaju, by ktoś do cudzej rzeczy, dlatego że mu się podoba, rościł sobie odrazu pretensje. Jakże długo trzeba pracować, aby ludzi z takiemi „dzikiemi" pojęciami przerobić na innych.

Jeszcze ciekawsze zwyczaje panują między Hindusami w stosunkach towarzyskich. I tak: Chce ktoś kogoś odwiedzić, zastaje drzwi zamknięte, więc puka. Z wnętrza mieszkania słyszy pytanie: Kto tam? Stojący za drzwiami nie wymawia swego nazwiska, jak to bywa u nas, lecz odpowiada: Nikt. Gospodarz poznawszy po głosie, odzywa się: Czego trzeba? Wówczas gość oznajmuje, że przyszedł go zobaczyć. Dopiero teraz gospodarz otwiera drzwi i pyta jednocześnie: Cóż nowego? Odpowiedź stojącego za dzwiami musi brzmieć zawsze: Tylko dobre nowiny, — choćby nawet tuż przed chwilą widział czy dowiedział się, iż najbliższą gospodarza osobę spotkało nieszczęście.

Gdy gość zajmuje jakieś wyższe stanowisko, podaje mu się matę lub krzesło, aby spoczął. Dopiero teraz zaczynają rozmawiać, ale o rzeczach zupełnie obojętnych. Po pewnym czasie gospodarz stawia niezbyt dla nas grzecznie wyglądające pytanie: Czy ma pan co jeszcze mi do powiedzenia? Gość robi na to zakłopotaną minę i sprawia wrażenie, że chce odejść. Nie wolno mu jednak tego uczynić bez zachęty gospodarza, więc dalej czeka, dopóki jej nie otrzyma i dopiero teraz podchodzi ku drzwiom ze słowami: „Przyjdę odszedłszy", co oznacza, że przyjdzie jeszcze raz. Pan domu niby zgadzając się chętnie, popiera jego oświadczenie, mówiąc: Idźcie i przyjdźcie. Najciekawsze dzieje się dopiero teraz, gdyż właśnie w tej chwili gość nagle wyjawia w jakim celu przyszedł z wizytą.

Europejczyk, przyzwyczajony do jasnego i prostego przedstawiania sprawy, gdy się znajdzie w roli gospodarza, nie wie w jaki sposób ma się gościa pozbyć, gdy mu jest niepożądany. *Dokończenie nastąpi.*

Prządki jesieni.

Jak każda pora roku, tak i jesień ma swoje uroki i dziwy. Są nawet ludzie, którzy właśnie jesień kochają najbardziej dla jej niemęczącego już słońca, dla dziwnego smętku, jaki roztacza dokoła, dla przepięknych kolorów, jakiemi maluje przyroda jej panowanie. Wczesna jesień obdarza nas zazwyczaj wieloma jeszcze dniami przemiłej pogody, tak, że aż zyskała ona nazwę lata, wprawdzie tylko „babiego" ale przecież „lata".

Charakterystyczną cechą tego okresu są snujące się w powietrzu przędze białej pajęczyny. Wiele legend owinęło się dokoła nich wśród naszego ludu. Najbardziej znana mówi, iż z przędzy tej Matka Boska szyje koszulki na zimę dla biednych sierotek, o które nikt się nie troszczy na ziemi.

W innej znowu legendzie czytamy o pewnej dziewczynce, której brat miał pójść na wojnę. W serdecznej obawie o jego życie, prosiła ona Matki Boskiej o łaskę, aby koszulka utkana przez nią dla brata, uchroniła go od śmiertelnej rany. Najświętsza Panna wzruszona miłością siostrzaną, wysłuchała prośby i nadała koszuli cudowną własność, o jaką dziewczynka prosiła. Dowiedziała się o tem jej przyjaciółka i ukradła cudowną koszulę. Ukarana za to śmiercią, pokutuje dotąd w ten sposób, że siedzi przy kądzieli i bez ustanku przędzie, lecz wiatr targa wysnutą przez nią nić i roznosi białe strzępy w pogodne dni jesienne daleko po świecie...

Inna jeszcze legenda powiada, że w ten sposób Matka Boska przypomina gospodyniom na wsi, iż czas już skończyć międlenie i czyszczenie lnu i konopi, a zabrać się do ich przędzenia. To w legendzie. A w rzeczywistości owe białe nici wytwarzają pewne pająckki wędrowne. Z nastaniem jesieni poszukują one odpowiednich dla siebie miejsc dla przepędzenia zimy. Wydostają się więc na jakieś wyższe przedmioty i siedząc na nich, wypuszczają z otworów ciała, zwanych kądzielnikami, ciecz która na powietrzu tężeje w białe, cienkie włókienka. Gdy wiatr niemi poruszy pajączki dają się im unosić i tak długo odbywają powietrzną podróż, aż znajdą dobre miejsce na leże zimowe. Wrazie zaczepienia się nitek o coś trwałego, owad wytwarza nową przędzę i dalej fruwa w powietrzu. Jeśli zaś chce się już zatrzymać, plącze wtedy włókienko w węzełki i niby na spadochronie jak lotnik, spuszcza się na ziemię



Ognisko dymi... pieczemy ziemniaki.

Rozwiązanie łamigłówki geograficznej z numeru 43-go.

1. Kościuszko. 2. Olesko. 3. Piekary. 4. Inowrocław. 5. Elbląg. 6. Częstochowa 7. Katowice. 8. Ojców. 9. Świątniki. 10. Cieszyn. 11. Iwonicz. 12. Ujście. 13. Sandomierz. 14. Zakopane. 15. Kołomyja. 16. Izdebno: **Kopiec Kościuszki.**